

Janusz Szpotański
**Bo mnie stać
na blagę**

zebrane utwory satyryczne



w opracowaniu
Antoniego Libery

Łudzie pracy w budowa pompow
potepiaja inspiratoro na Dowazkac

FRAGMENTY NIENAPISANEJ AUTOBIOGRAFII

spisał i zredagował Antoni Libera

Konspiracje przygotowane nielegalnego wicem studentów

Wieloletni wicem studentów przygotowali konspiracje, które miały służyć do wywołania rewolucji w Polsce. W tym celu przygotowali listy i broń, a także zorganizowali tajne spotkania. W tym celu przygotowali listy i broń, a także zorganizowali tajne spotkania.

Wieloletni wicem studentów przygotowali konspiracje, które miały służyć do wywołania rewolucji w Polsce. W tym celu przygotowali listy i broń, a także zorganizowali tajne spotkania.

Sojusz polsko-radziecki na szkodę Polski

Sojusz polsko-radziecki, który miał służyć do wywołania rewolucji w Polsce, okazał się szkodliwy dla Polski. W tym celu przygotowali listy i broń, a także zorganizowali tajne spotkania.

Sojusz polsko-radziecki, który miał służyć do wywołania rewolucji w Polsce, okazał się szkodliwy dla Polski. W tym celu przygotowali listy i broń, a także zorganizowali tajne spotkania.

Z Warszawy i z całego kraju

Wieloletni wicem studentów przygotowali konspiracje, które miały służyć do wywołania rewolucji w Polsce. W tym celu przygotowali listy i broń, a także zorganizowali tajne spotkania.

LATA NAUKI

Szkoła średnia, do której zacząłem uczęszczać w 1945 roku, była dla mnie tak nudna i zapyzająca, że czym prędzej ją porzuciłem. Udało mi się tego dokonać dzięki łatwowierności i swoistej obojętności moich rodziców. Najpierw dość długo potrafiłem utrzymywać ich w przekonaniu, że co dzień rano udaję się na lekcje, podczas gdy w rzeczywistości udawałem się zupełnie gdzie indziej (głównie do YMCA; przynajmniej od pewnego momentu); gdy zaś w końcu przejrzelі mą grę i poznali prawdę, ze stoicką rezygnacją machnęli na mnie ręką. Wówczas bez żadnych już skrupułów oddałem się próżniaczemu życiu, które beztrudno i wartko płynęło mi na grze w szachy, bywaniu w salonach, gdzie z kolei nie bez powodzenia udawałem studenta socjologii, dalej: na wnikliwej obserwacji dookolnej rzeczywistości socu i wreszcie na najbardziej z tego wszystkiego czasochłonnym zwykłym zbijaniu bąków. To życie, jakkolwiek barwne i pełne różnorodnych wrażeń, zaczęło mi się jednak w pewnym momencie przykrzyć i – raczej z kaprysu niż z rozsądku czy jakiejś obawy – postanowiłem sfinalizować swą edukację średnią.

Ani przez chwilę, rzecz jasna, nie brałem pod uwagę powrotu do szkoły. Było dla mnie nie do pomyślenia, że znów miałbym zamienić się w ucznia, piłowanego i zadreczanego przez zawziętych w nudzie nauczycieli. Postanowiłem po prostu załatwić całą sprawę jednym cięciem – jak przecina się węzeł gordyjski – czyli od razu, jako ekstern, zdać maturę, a ściślej – dwie matury, małą i dużą, były to bowiem jeszcze czasy, gdy obowiązywał system przedwojenny i żeby zdać maturę właściwą (właśnie ową „dużą”), należało najpierw zdać „małą”.

Wszystko to udało mi się załatwić w nieco ponad pół roku. Przygotowywałem się zasadniczo sam. Jedyne z łaciny, która nie wiedzieć czemu sprawiała mi szalone trudności, pobierałem lekcje. Mówię „nie wiedzieć czemu”, bo przecież uczyłem się już tego języka podczas okupacji – na kompletach. Widocznie jednak słaba to była nauka, skoro wszystko właściwie wywietrzało mi z głowy. Więc na te korepetycje z łaciny, dwa razy w tygodniu, jeździłem do takiej jednej korpulentnej studentki filologii klasycznej Uniwersytetu Warszawskiego. Prawdę mówiąc, niewiele czy zgłębiłem z tego nie skorzystałem. Studentka była osobą pozbawioną zarówno inteligencji, jak i urody, co – jak wiadomo – nie sprzyja nauce, a w takim wypadku jak mój po prostu ją uniemożliwia. Chciałem, żeby nauczyła mnie tylko tego, co będzie mi potrzebne do egzaminu, tymczasem ona absolutnie nie potrafiła do tego tak podejść i zamęczała mnie jakimś potwornie szczegółowym kursem, tak że na tych lekcjach o mało nie zasypiałem, a w domu, nie znajdując żadnej podniety w jej urodzie, przeciwnie, myśląc o niej raczej z odrazą, oddawałem się wszystkiemu, tylko nie łacinie. I nie wiem, jak by się to skończyło, gdyby nie bezcenny Zukerkandel, czyli bryki pochodzące jeszcze sprzed pierwszej wojny światowej lub – najpóźniej – z lat dwudziestych. Któregoś dnia udało mi się je nabyć na wózkach na ulicy (nawiasem mówiąc, masowo wówczas handlowano w ten sposób książkami, a wśród oferowanych pozycji poczesne miejsca zajmowały właśnie wydawnictwa Zukerkandla).

Bryki Zukerkandla z zakresu łaciny nie bawiły się w żadne ułatwienia połowiczne, lecz od razu przynosiły pożądany przez uczniów produkt finalny, to znaczy, tłumaczenie na polski najsłynniejszych i najczęściej przerabianych tekstów łacińskich oraz streszczenia co ważniejszych większych dzieł po łacinie. Jak wiadomo, sprawdzian z łaciny zawsze polegał i nadal na pewno polega na przełożeniu na polski fragmentu jakiegoś tekstu łacińskiego. Jednakże wybór tekstów używanych w tym celu na podstawowym

poziomie jest dosyć ograniczony. Toteż na ogół wie się mniej więcej, co może być na egzaminie. A ja to wiedziałem nawet dokładnie, bo na egzaminie maturalnym z zasady dawano teksty z podręczników, a w podręcznikach, które mnie obowiązywały, były właściwie tylko dwa, oba zresztą Cycerona: jego mowa przeciwko Katylinie i obrona poety Linicjusza Archiasza. Więc ja, korzystając z małej pamięci, jaką wtedy dysponowałem, po prostu obu tych tekstów – z bryków Zukerkandla – nauczyłem się całych na pamięć. W tym stanie rzeczy pozostało jedynie trafnie rozpoznać zadany mi ustęp. To, oczywiście, nie nastroczało już poważniejszych trudności, tym bardziej że do przetłumaczenia dostałem początkowy fragment przeciwko Katylinie, a więc rozpoczynający się od owych słynnych słów: *Quousque tandem...* Przekładu dokonałem w błyskawicznym tempie, bo przecież faktycznie nie tłumaczyłem, lecz po prostu spisywałem z pamięci, i właściwie moim jedynym zadaniem było uważać, żeby się w porę zatrzymać, a następnie stosowną chwilę poczekać z oddaniem pracy, żeby się to wszystko nie wydało podejrzanym. Owej chwili zwłoki nie spędziłem zresztą beczynnym; zużyłem ją na przepisanie całego tłumaczenia i dostarczenie go siedzącemu za mną klerykowi, który utknąwszy już na drugim zdaniu, ani rusz nie mógł iść dalej. Zyskałem w ten sposób jego dozgonną wdzięczność, którą po zakończeniu egzaminów wielokrotnie manifestował, długo ściskając mi rękę i udzielając licznych błogosławieństw.

W ogóle cała ta matura okazała się niezbyt kłopotliwa. Wszystkie czyhające na mnie rafy ominąłem raczej bezboleśnie i bez większego wysiłku. Pamiętam, że z polskiego pisałem jakieś monstrualne wypracowania – o pozytywizmie i o Młodej Polsce. W tym drugim popisywałem się – szalenie hochsztaplerską zresztą – znajomością Schopenhauera, co – zgodnie z moimi założeniami – bardzo korzystnie odbiło się później podczas egzaminu ustnego. Egzaminująca mnie nauczycielka patrzyła na mnie jak

na młodzieńca o rozległej wiedzy humanistycznej, odnosiła się do mnie z szacunkiem należnym raczej doktorantowi niż niedoszłemu jeszcze maturzyście, i zamiast po belfersku, zdradliwie, przepytywać mnie z tego i owego, prowadziła ze mną coś w rodzaju towarzyskiej konwersacji.

Gdy pokonałem już wszystkie przeszkody egzaminu maturalnego i pozostały mi do załatwienia jedynie jakieś formalności, wydarzyło się coś, co z czasem urosło w mojej świadomości do rangi złowieszczej przestrogi. Otóż jeden z członków komisji maturalnej, chyba nauczyciel historii, a może geografii, nie pamiętam już, całkiem zresztą miły i na pewno nie w złych intencjach zapytał mnie, czy nie jestem aby krewnym znanego polskiego fabrykanta – Kazimierza Szpotańskiego. Zmierzyłem go wzrokiem, a spostrzegłszy, że na jego twarzy maluje się raczej przychylność niż wrogość do klas posiadających, postanowiłem dać mu odpowiedź wychodzącą naprzeciw jego uczuciom, a jednocześnie całkowicie wymijającą. Powiedziałem mianowicie:

– Panie profesorze, kto dziś przyznaje się do pokrewieństwa z fabrykantami?

Uśmiechnął się nostalgicznie, myśląc zapewne, że w zawołany sposób dałem mu do zrozumienia, że – istotnie – mam coś wspólnego z tamtą rodziną, ja zaś – chmurny – odszedłem dumnie, grając przed nim rolę osieroconego dziedzica wielkiego burżuazyjnego rodu – wyobcowanego, czujnego i heroicznie stawiającego czoło nowej rzeczywistości. Na myśl mi wówczas nie przyszło, jak dalece ta błazenada zapowiada mój rzeczywisty przyszły los, i to całkiem już niedaleki.

No, ale na razie byłem świeżo upieczonym maturzystą i świat stał przede mną otworem. Rozochocony sukcesem, jakim było błyskotliwe (bo jakże szybkie!) uporanie się z edukacją średnią, postanowiłem iść, jak to się mówi, za ciosem i zdawać niezwłocznie na studia wyższe. Pewna przyzwoitość nakazywała mi przy

tym kierować się na socjologię: wszak w salonach, przez lata udawałem studenta tego właśnie wydziału.

Z tą przyzwoitością... no, to pewna przesada. W grę wchodziła raczej denerwująca obawa, że zostanę wreszcie zdemaskowany, a warto dodać, że raz o mało już do tego nie doszło. Było to tak:

Na towarzyskie spotkanie w pewnym salonie, podczas którego ze szczególną swadą brylowałem właśnie jako student socjologii, przybył prawdziwy przedstawiciel tej dyscypliny i pani domu, w myśl salonowych obyczajów, nakazujących kojarzyć ze sobą ludzi o wspólnych zainteresowaniach, natychmiast mnie jemu przedstawiła jako adepta uprawianej przez niego nauki, stwierdzając z radością, że na pewno wiele będziemy mieli sobie do powiedzenia i obaj na tym kontakcie skorzystamy. Ponieważ cała ta scena rozgrywała się na oczach wszystkich pozostałych gości, którzy dopiero co byli świadkami moich popisów nacechowanych wielką pewnością siebie, mocno pociemniało mi w oczach. Oczywiście ja, grając tę rolę studenta socjologii, nie byłem zupełnym ignorantem w tej dziedzinie, moja wiedza ograniczała się jednak do znajomości jednej zaledwie książki z tego zakresu, w dodatku mocno już przestarzałej, mianowicie do *Wprowadzenia do socjologii* Cuvilliera. Było to oczywiście bardzo mało, żeby stawić czoło faktycznemu znawcy przedmiotu, a już zupełnie nie wystarczało, by wykazać się znajomością panujących aktualnie na wydziale stosunków i realizowanego programu studiów. Na szczęście przybyły z wizytą socjolog nie pochodził z Warszawy, lecz z Krakowa i głównie związany był z Uniwersytetem Jagiellońskim. Tej właśnie okoliczności uczepiłem się jako swej szansy.

Doświadczenie życiowe (a niemałą rolę odgrywała tu wiedza szachowa) zdążyło mnie już nauczyć owej znanej zasady strategicznej, iż najlepszą formą obrony jest atak, toteż żeby nie dopuścić do sytuacji, w której znalazłbym się w defensywie, to znaczy, musiałbym odparowywać ciosy w postaci stawianych mi pytań